

Szubert, Waclaw

Wspomnienia o Departamencie Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu (1941-1944)

Przegląd Historyczny 80/1, 133-153

1989

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

WACŁAW SZUBERT

Wspomnienia o Departamencie Pracy i Opieki Społecznej
Delegatury Rządu (1941—1944)

Z Departamentem Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu byłem związany od połowy 1941 roku, najpierw na zasadzie luźniejszej współpracy a następnie ściślej przynależności organizacyjnej. Brałem czynny udział w dwóch ważnych dziedzinach działalności Departamentu, a mianowicie w pracach koncepcyjnych, dotyczących kształtu polityki społecznej w przyszłej Polsce oraz w akcji pomocy i opieki nad ofiarami terroru okupanta i przedstawicielami środowisk szczególnie zagrożonych jego polityką eksterminacyjną. Pierwszej z tych dziedzin poświęcam osobne obszerniejsze opracowanie, które znajduje się w stadium daleko posuniętego przygotowania. Drugiej nie dałoby się już chyba opracować w sposób pełniejszy ze względu na trudność zgromadzenia odpowiedniej dokumentacji; o znaczeniu jej świadczą jednak liczne wzmianki w literaturze dotyczącej okresu okupacji.

Szkic niniejszy nie nawiązuje bezpośrednio do żadnego z tych wątków. Przyświeca mu natomiast intencja uzupełnienia obrazu, jaki wyłania się stopniowo z opracowań analitycznych, przez zarysowanie postaci ludzi, którzy stanowili trzon organizacyjny Departamentu Pracy i Opieki Społecznej i których działalność wywierała decydujący wpływ na jego prace i rozwój.

W pamięci mojej utkwiły mocno sylwetki niektórych zwłaszcza spośród tych ludzi, do jakich dane mi było zbliżyć się i z nimi współpracować. Z pamięci tej pragnę wydobyć wspomnienia o charakterze osobistym, z natury rzeczy selektywne, skupiające się wokół osób zmarłych, bez dawania pełniejszych charakterystyk czy też przedstawiania pełnego składu współpracowników Departamentu.

Wśród osób tych wysuwa się na plan pierwszy postać Jana Stanisława Jankowskiego, który stał na czele Departamentu w latach 1941—1943, a następnie po przejściu na stanowisko Delegata Rządu na Kraj, a więc szefa wszystkich komórek organizacyjnych delegatury, interesował się nadal żywo jego pracami.

Z Janem Stanisławem Jankowskim zetknąłem się po raz pierwszy na kilka lat przed wojną, w okresie mojej pracy w Instytucie Spraw Społecznych w Warszawie, ważnym ośrodku prac badawczych i postępowej myśli społecznej, skupiającym grono wybitnych jej przedstawicieli. Głębokim przeżyciem było dla mnie, jako dla bardzo młodego wówczas adepta nauki, znalezienie się w tym środowisku, nie mającym bezpośrednich powiązań z nauką akademicką, reprezentującym natomiast ogromny zasób żywej wiedzy, czerpanej z praktyki i doświadczenia. Jako asystent jednego z działów Instytutu i sekretarz jego Rady Nau-

kowej miałem możność przysłuchiwania się wielu dyskusjom, mającym za przedmiot czy to ogólniejsze plany prac badawczych, czy też koncepcje poszczególnych badań i roztrząsanie związanych z nimi problemów, czy wreszcie obmyślanie różnych form działania i wydawnictw. Z prac tych wyłaniał się ogólniejszy nurt myśli badawczej i koncepcyjnej, zmierzającej do przedstawienia rzetelnego obrazu współczesnej rzeczywistości społecznej oraz wskazywania najskuteczniejszych środków mogących przyczynić się do pożądanych zmian. Kształtowały się w ten sposób w toku bieżących prac Instytutu zręby nauki polityki społecznej, formowane przez ludzi świątłych i twórczych, jakkolwiek nie mających na ogół tytułów naukowych¹.

Należał do nich przede wszystkim dyrektor Instytutu Kazimierz Kornilowicz, niezrównany inicjator i animator prac badawczych i instrukcyjnych, należeli do nich także wybitni znawcy problemów rynku pracy: Edward Strzelecki i Ludwik Landau, ubezpieczeniowcy, jak Waclaw Bruner, Zbigniew Łomnicki czy Henryk Greniewski, znawcy zagadnień bezpieczeństwa i higieny pracy, jak Edward Mazurkiewicz i Waclaw Adamiecki, problematyki zdrowia publicznego, jak Marcin Kacprzak i wielu innych.

Do tych najwybitniejszych znawców zagadnień polityki społecznej uczestniczących w szerokim zakresie prac Instytutu należał też Jan Stanisław Jankowski, stały członek jego Rady Naukowej i wielu gremiów powoływanych dla dyskusowania i rozwiązywania określonych problemów. Główną domenę Jana St. Jankowskiego stanowiły ubezpieczenia społeczne, z którymi był związany w ostatnich latach przed wojną miejscem swej pracy; reprezentował on jednak głęboką wiedzę także i w innych dziedzinach polityki społecznej, co umożliwiała mu oddziaływanie na kierunek i formy wielu prac Instytutu. Zabierał on głos przy różnych okazjach; pozostały mi w pamięci liczne jego wystąpienia na posiedzeniach Rady Naukowej i na innych zebraniach, zawsze nacechowane rzeczowością i trzeźwością sądów oraz konstruktywne w poszukiwaniu optymalnych rozwiązań dyskutowanych problemów. Ten ważny wkład Jana St. Jankowskiego był wysoko ceniony w środowisku Instytutu Spraw Społecznych, czemu niejednokrotnie dawano wyraz.

Stwierdzenia te dotyczą okresu 1936—1939, kiedy to byłem pracownikiem Instytutu Spraw Społecznych. Wojna i okupacja położyły kres pracom Instytutu, tym boleśniesz, że naznaczony tragicznym odejściem wielu jego współpracowników, a wśród nich, od razu w pierwszych dniach września 1939, dyrektora Kazimierza Kornilowicza. Pozostali pracownicy zbierali się jeszcze w ciągu października i listopada w lokalu Instytutu przy ul. Wilczej 1, stawało się jednak rzeczą jasną, że nie będzie szans na kontynuowanie legalnej działalności Instytutu w jego dotychczasowych formach.

Wtedy właśnie Jan St. Jankowski, podczas jednej ze swych wizyt

¹ Dorobek Instytutu Spraw Społecznych nie doczekał się jeszcze monograficznego opracowania. W ostatnich latach ukazały się dwie publikacje: H. Kuropatwińska-Swidowa, *Ze wspomnień o Instytucie Spraw Społecznych w Warszawie (1931—1939)*, „Studia i Materiały z Historii Ubezpieczeń Społecznych w Polsce” z. 2, Warszawa 1984, s. 99—110 oraz *Trójgłos o Instytucie Spraw Społecznych w Warszawie z okresu okupacji* (Wacław Szubert, Jerzy Piotrowski, Stefan Mateja), tamże, z. 4, Warszawa 1986, s. 157—176.

w lokalu Instytutu Spraw Społecznych, zaproponował mi, abym przeszedł do pracy w Stołecznym Komitecie Samopomocy Społecznej w charakterze sekretarza kierowanej przez niego komórki organizacyjnej tego Komitetu: sekcji do spraw pracy. Dodał przy tym, że w istniejącej sytuacji jest to w jego przekonaniu dobra dla mnie propozycja. Nie musiał mnie jednak do jej przyjęcia namawiać; zgodziłem się bez wahania, choć żał mi było Instytutu. Szanse jego dawnej działalności zamknęły się bowiem bezpowrotnie, a propozycja Jana St. Jankowskiego otwierała przede mną możliwości nowej, interesującej i pożytecznej pracy, służącej dobrej sprawie.

Te przewidywania w pełni się potwierdziły. Stołeczny Komitet Samopomocy Społecznej w pierwszych miesiącach okupacji stanowił szczególnie środowisko skupiające wielu wybitnych przedstawicieli naszego życia publicznego i kulturalnego na skromnych formalnie stanowiskach organizatorów i wykonawców w różnych działach pracy opiekuńczej, która miała służyć najpilniejszym potrzebom zubożałego i boleśnie dotkniętego przez wojnę społeczeństwa.

Praca ta nosiła w początkowej fazie wiele cech działalności społecznej, prowadzonej na zasadach wewnętrznej samorządności. Osoby znajdujące się na naczelnych stanowiskach kierowniczych w Komitecie nie pobierały w ciągu dłuższego czasu żadnego wynagrodzenia, a pracownicy zostali zrównani pod względem uposażenia na skromnym wówczas poziomie płacy wynoszącej 250 zł miesięcznie. Wśród jednych i drugich znajdowały się przy tym osoby, które byłyby predystynowane, ze względu na swe przedwojenne stanowiska i kwalifikacje, do wykonywania zupełnie innych prac. Niezapomniane wrażenie sprawiała ta tragicznie pomniejszona i zagrożona w swej dalszej egzystencji reprezentacja niezależnego w jakiejś mierze polskiego życia, która mogła jeszcze działać w legalnych formach. Na małej przestrzeni lokalu przy ul. Wiejskiej 10 (gmach byłej Izby Przemysłowo-Handlowej) można było wówczas przeżyć niejedno niezwykle spotkanie. Przybywało też ciągle sporo nowych ludzi, ale niestety zaczęli również ubywać ci, którzy byli wyrzynani policyjną ręką okupanta z naszych szeregów, aby nigdy już do nich nie powrócić².

Sekcja do spraw pracy, jedna z sekcji które działały w ramach Komitetu, miała za zadanie dopomaganie ludziom pozbawionym poprzednich możliwości pracy a tym samym i środków do życia, przez udzielanie pożyczek, które miały umożliwić im stworzenie skromnych, samodzielnych placówek pracy o charakterze indywidualnym bądź spółdzielczym. Założenie to nie zawsze dawało się urzeczywistnić, zarówno ze względu na skromny wymiar udostępnianych środków, jak i brak niezbędnego doświadczenia i obrotności wśród wspomaganych osób, a także ze względu na niestabilizowane warunki ówczesnego życia w początkowym okresie okupacji. Pomoc pieniężna miała jednak znaczenie psychologiczne, pozwalała niejednokrotnie przetrwać szczególnie trudny okres przystosowania do dramatycznie zmienionych warunków oraz zachęcała do podejmowania starań by zorganizować podstawy egzystencji na przyszłość.

² Należeli do nich: Jan Łazowski, Roman Rybarski, Jan Strzelecki.

Zasady udzielania tej pomocy, jej wymiar materialny i warunki ustalił w początkowym okresie Jan St. Jankowski; następnie były one stopniowo precyzowane w praktyce, czemu sprzyjały okoliczności towarzyszące działalności sekcji. W jednym niewielkim pokoju, przez który przechodził nie kończący się korowód ludzi poszukujących wsparcia, funkcjonował cały aktyw, czy też personel Sekcji w osobach jej przewodniczącego: Jana St. Jankowskiego, zastępcy przewodniczącego, którym był Antoni Zdanowski i sekretarza w mojej osobie. Każda sprawa mogła być w tych warunkach gruntownie rozpatrzona i rozstrzygnięta bezpośrednio, bez biurokratycznej mitregi, co również sprzyjało konkretyzowaniu zasad, które miałyby obowiązywać w przyszłości w podobnych przypadkach. Korowód owych przyjmowanych przez nas osób, do których nie pasowałaby nazwa interesantów, miał dość niezwykle skład. Znaczną jego część stanowili wybitni przedstawiciele świata kultury, którzy zostali pozbawieni dawnych możliwości pracy, bądź też nie chcieli w warunkach okupacyjnych wykonywać swego zawodu (jak aktorzy).

Jedni z pierwszych zostali wpisani do księgi dokumentującej działalność Sekcji czterej pisarze: Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Breza, Michał Choromański i Stefan Otwinowski, którzy otrzymali pożyczkę w wysokości 800 ówczesnych złotych na handel uliczny książkami. Pamiętam ich wszystkich zgromadzonych w naszym pokoju i składających swe podpisy na stosownym dokumencie. Potem byli m.in. Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki reprezentujący grupę „Przedmieście”, Wanda Melcer w imieniu grupy literatów zrzeszonych w założonej wówczas spółdzielni, a ze świata teatru Dobiesław Damięcki, który później musiał się ukrywać w związku ze sprawą Igo Syma, Teofil Trzciniński na czele grupy artystów Opery i wielu, wielu innych.

Odmienne, stosunkowo liczną kategorię zgłaszających się do nas osób stanowili wysiedleńcy z Poznańskiego, którzy przychodzili zazwyczaj bezpośrednio po przymusowym przetransportowaniu do tzw. Generalnego Gubernatorstwa i przybyciu do Warszawy. Trzeba było podziwiać postawę tych dzielnych ludzi, którym kazano w ciągu 15 minut opuścić ich domy i zostawić cały dobytek, poza skromnym ręcznym bagażem. Wyrażali oni niezachwianą pewność, że tam powrócą oraz przejawiali wiele energii i zaradności w prowizorycznym urządzaniu swego życia w miejscu przesiedlenia, co pozwoliło im stworzyć sobie z czasem znośne warunki bytu.

Wiedzieliśmy o tym, gdyż z wieloma osobami korzystającymi z naszej pomocy utrzymywaliśmy trwalszy kontakt; niektórzy z nich po spłaceniu otrzymanych pożyczek (co ułatwiała dewaluacja pieniądza) zaciągali nowe, już na ściśle określone cele. Staraliśmy się, na miarę ówczesnych warunków i możliwości, gromadzić dokumentację obrazującą efektywność prowadzonej przez nas działalności, czym żywo interesował się Jan St. Jankowski.

Akcja pożyczek na cele usamodzielnienia gospodarczego stanowiła w ogóle przedmiot jego szczególnej uwagi, także i wtedy gdy zinstytucjonalizowała się ona na tyle, że nie musiał wnikać bezpośrednio w poszczególne przypadki. Sprawiała mu też dużo zadowolenia, ponieważ rozwijała się stosunkowo dobrze, na gruncie ustalonych zasad, nie prze-

radzając się w zwykłe rozdawnictwo pieniędzy bez myśli przewodniej i kontroli.

Poza tą działalnością Jan St. Jankowski zainicjował w ramach naszej Sekcji akcję popierania pracowniczych ogródków działkowych, która rozwinęła się bardzo w warunkach okupacji, przynosząc realną korzyść ludności Warszawy; zajmowała się tym Zofia Brzywczy-Kunińska. Powołał również komisję prawniczą przy naszej Sekcji, która miała wyjaśnić problemy prawne o znaczeniu społecznym, jakie stwarzało wprowadzenie reżimu okupacyjnego. Na czele tej komisji stanął sędzia Pierzchalski, a członkami jej byli m.in. Stefan Mateja, Stanisław Kędzierski a także, o ile mnie pamięć nie myli, Zbigniew Wróblewski i Zygmunt Kopankiewicz. Zbierała się ona dość często, poczynając już od grudnia 1939, w owym jedynym pokoju stanowiącym lokal Sekcji, poza godzinami jej zwykłej działalności, przy czym Jan St. Jankowski w początkowej fazie uczestniczył w jej obradach.

Na początku 1940 roku warunki pracy Sekcji zmieniły się na tyle, że uzyskała ona dwupokojowy lokal na wyższym piętrze w tym samym gmachu. W ten sposób powiększyła się jej przestrzeń dyspozycyjna, niestety zupełnie nieogrzewana, co w warunkach surowej zimy 1940 roku stwarzało sytuację trudną do wytrzymania. Temperatura w naszych pomieszczeniach spadała poniżej 0° (atrament zamarzał w kałamarzach), trudno więc było normalnie wysiedzieć przy biurkach: praca odbywała się w ciągłym ruchu i w pełnym wyjściowym rynsztunku zimowym. Pamiętam, jak w takich okolicznościach finalizowaliśmy udzielenie pożyczki H. Boguszewskiej i J. Kornackiemu, biegając po pokoju i zdejmując rękawiczki tylko na moment wypełnienia stosownych formularzy i składania podpisów. A z pobliskiego terenu Sejmu dochodziły do nas odgłosy salw karabinowych, oznaczających dokonywane tam egzekucje.

Z nadejściem wiosny ustąpiły wspomniane poprzednio dokuczliwości, a na jesieni 1940 roku nastąpiła przeprowadzka do gmachu „Romy” przy ul. Nowogrodzkiej, a wkrótce potem charakter naszej instytucji. Stołeczny Komitet Samopomocy Społecznej został przekształcony w Radę Opiekuńczą Miejską, działającą w ramach Rady Głównej Opiekuńczej, mającej swą siedzibę w Krakowie. Z tą chwilą znikły wszelkie przejawy społecznej samorządności i kolegialnych form działania. Instytucja nasza przekształciła się w wielką biurokratyczną maszynę, której charakter był bardziej przystosowany do okupacyjnych warunków. Trzeba przy tym przyznać, że była ona na ogół sprawnie kierowana i pozostawiała sporo możliwości organizowania pod jej przykrywką nielegalnych form działania.

Wiele zmian też zaszło w naszej Sekcji, przemianowanej obecnie na Dział do spraw pracy. Na miejsce Antoniego Zdanowskiego przyszedł Franciszek Białas, rozbudowała się też poważnie obsada personalna, w ramach której znaleźli się m.in. Jan (?) Kordowski, Stanisław Roman Dangel, Waclaw Czarnecki, Janina Gadomska, Alicja Eysmontówna i wiele innych osób, spełniających te same co dawniej funkcje w nieporównanie szerszym zakresie. Trudno było w istocie porównać to wielkie biuro, jakie stanowił teraz nasz Dział, ze skromną sekcją zajmującą w końcu 1939 roku jeden pokój przy Wiejskiej. Charakter działalności pozostał jednak ten sam, choć doszły m.in. sprawy mieszkaniowe. W po-

większonym znacznie zespole ludzkim panowała harmonia i pełne zrozumienie.

W działalności tej umacniał się przy tym coraz bardziej nurt podskórny, wynikający nie tylko stąd, że dawała ona pokrycie różnym nielegalnym poczynaniom (tak np. przy naszym Dziale funkcjonował, zakamuflowany pod nazwą Komisji Statystycznej, Instytut Gospodarstwa Społecznego)³. Ważniejsza jeszcze była ta okoliczność, że prawie każda z bardziej eksponowanych osób w naszym Dziale brała udział w pracach konspiracyjnych, które niekiedy się ze sobą ząbebiały. Życie i praca toczyły się więc niejako na dwóch płaszczyznach, przy czym ta podziemna wciągała coraz bardziej, ale ta legalna, czy *quasi* legalna, w RGO, wymagała również dużego zaangażowania, ponieważ chodziło w niej o sprawy społecznie ważne w ówczesnej okupacyjnej rzeczywistości.

Istnienie owego podskórnego nurtu dawało jawnie znać o sobie, gdy zachodził fakt, wyłączający daną osobę z normalnych form życia. U mnie dokonało się to bezboleśnie, ponieważ udało mi się uniknąć niepożądanego spotkania. Niektórzy nasi koledzy stali się jednak ofiarami represji i zapłacili za swe patriotyczne zaangażowanie najwyższą cenę⁴.

W ciągu dwóch lat (od grudnia 1939 do listopada 1941) dane mi było pracować pod bezpośrednim kierunkiem Jana St. Jankowskiego i w codziennej z nim styczności, w opisanych warunkach. W wielu sytuacjach miałem możliwość obserwować jego reakcje, jego linię postępowania i różne przejawy działalności jako organizatora i kierownika stworzonej przez niego placówki pracy opiekuńczej. Zbliżyłem się też do niego już wtedy w nurcie konspiracyjnym, do czego przyczyniła się moja służba w Wydziale Informacji BIP ZWZ (później AK), a następnie współpraca z Departamentem Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu, którego kierownictwo Jankowski objął wiosną 1941 roku. W toku tych wszystkich kontaktów mogłem w pełni ocenić wysokie walory jego umysłu i charakteru, które były przedmiotem powszechnego szacunku w naszym środowisku. Szczery podziw wzbudzał jego niewzruszony spokój i opamiętanie, trzeźwość sądu pozwalająca mu zawsze znajdować trafne rozwiązanie w skomplikowanych sytuacjach, a nade wszystko jego głębokie patriotyczne zaangażowanie we wszelką działalność służącą polskiej sprawie.

Jan St. Jankowski nie był człowiekiem wylewnym i uczuciowym. Kontakty z nim były nacechowane rzeczowością, z pozoru suche ze względu na dużą oszczędność słów, ale zawsze znamionujące wielką kulturę osobistą. Niełatwo było wejść z nim w bezpośrednią osobistą zażyłość, można było natomiast niezawodnie polegać na jego słowie i prawości jego intencji. Jako kierownik pracy zespołowej umiał nadawać jej właściwy kształt organizacyjny, natomiast w podejmowaniu szczegółowych decyzji przejawiał niekiedy pewną apodyktyczność, nie przygotowując ich dostatecznie przez uprzednie rozmowy ze współpracownikami. W działalności na terenie SKSS czy RGO nie stwarzało to po-

³ Por. T. Szturm de Sztrem, *Instytut Gospodarstwa Społecznego*, Warszawa 1959, s. 216 nn!

⁴ Stanisław Roman Dangel został zamordowany bezpośrednio po aresztowaniu w roku 1942, Jan Kordowski zmarł w Oświęcimiu w roku 1943 (?).

ważniejszych problemów. Zastanawiałem się jednak nieraz nad tym, czy ta cecha postępowania Jankowskiego nie mogła zaważyć na niektórych jego późniejszych decyzjach w sprawach najwyższej wagi.

W listopadzie 1941 roku urwał się mój kontakt z RGO i odtąd miałem już styczność z Janem St. Jankowskim wyłącznie na gruncie działalności konspiracyjnej, biorąc udział w pracach koncepcyjnych prowadzonych przez Departament Pracy i Opieki Społecznej oraz w niektórych zakresach opieki czynnej sprawowanej przez tenże Departament. Współpraca ta stopniowo ulegała zacieśnieniu w miarę tego, jak rozwijały się prace koncepcyjne Departamentu, których bezpośrednio kierownictwo należało do Stefana Mateji; uzasadniały one jednak również potrzebę kontaktu osobistego z Janem St. Jankowskim.

W połowie 1943 roku zaszedł w tej współpracy moment przełomowy, związany z objęciem przez Jankowskiego stanowiska Delegata Rządu oraz powołaniem Mateji na stanowisko dyrektora Departamentu Pracy i Opieki Społecznej. Zaproponował mi wówczas Jankowski pełne włączenie się do pracy w Departamencie w charakterze zastępcy dyrektora. W ten sposób, już po raz drugi w okresie okupacji, jego inicjatywa miała wpłynąć zasadniczo na moją sytuację życiową. Muszę jednak przyznać, że tym razem, w przeciwieństwie do decyzji z końca 1939 roku, akceptacja tej zmiany nie przyszła mi łatwo. Wymagała bowiem odejścia z Wydziału Informacji BIP AK, w którym prowadziłem od marca 1940 roku referat społeczny, czując się z tą pracą głęboko związany zwłaszcza od czasu, gdy zaczęła ona służyć celom walki konspiracyjnej i przygotowywaniu akcji zbrojnych⁵. Istotny sens tej pracy sprowadzał się bowiem do bezpośredniego udziału w walce z okupantem, podczas gdy w Delegaturze dominowały sprawy polityczne, związane z przygotowaniem na chwilę przełomu.

Jeśli jednak zdecydowałem się ostatecznie przejść do Departamentu (co przybrało formalną postać odkomenderowania), to rozstrzygnął o tym szacunek i głębokie zaufanie, jakie żywiłem zarówno do Jana St. Jankowskiego jak i Stefana Mateji, pod którego kierunkiem miałem odtąd pracować. Na tym zaufaniu nigdy się nie zawiodłem, a poza tym praca w Departamencie zaczęła mi wkrótce przynosić również duże zadowolenie ze względu na jego zadania w zakresie opieki czynnej oraz z uwagi na szczególnie klimat, jaki stwarzała postawa ideowa Mateji. Praca ta dawała też niewątpliwie większe możliwości spożytkowania (i rozwijania) moich kwalifikacji zawodowych.

U progu tej nowej fazy działalności konspiracyjnej zostały mi powierzone odpowiedzialne zadania w zakresie organizacji opieki czynnej, która obejmowała ofiary terroru politycznego okupanta (a więc osoby przebywające w więzieniach, obozach koncentracyjnych i członków ich rodzin, wysiedleńców, osoby ukrywające się, rodziny osób pomordowanych, później w szczególności rozstrzelanych (tzw. akcja RR) oraz jednostki wartościowe społecznie, znajdujące się w potrzebie. Do tej ostatniej kategorii zaliczano nie tylko przedstawicieli świata nauki i kultury

⁵ Ten aspekt działalności Wydziału Informacji BIP AK nie został moim zdaniem dostatecznie uwydatniony w pięknej książce G. Mazura, *Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK*, Warszawa 1987. Nieścisle jest zwłaszcza stwierdzenie, że praca tego Wydziału nosiła „wyłącznie analityczny charakter” (s. 90).

lecz również innych środowisk, a decydujące kryterium stanowił poziom moralny, postawa obywatelska oraz stan potrzeby, uzasadniający udzielenie pomocy⁶.

Zasady prowadzenia tej akcji o nastawieniu specjalnym, odróżniającym ją od ogólnej opieki społecznej, prowadzonej z legalnych źródeł przez gminy miejskie i wiejskie oraz przez placówki RGO, ustalił Jan St. Jankowski. On też starał się stale o zwiększanie środków przeznaczonych na ten cel i dbał o przestrzeganie ustalonych zasad i prawidłowe dysponowanie funduszami. Departament Pracy i Opieki Społecznej stanowił w tej akcji centralny ośrodek dyspozycyjny i główny punkt rozdziału funduszy pomiędzy różne ośrodki legalne (jak RGO) czy nielegalne (jak Patronat nad Więźniami, okręgi Delegatury Rządu), prowadzące bezpośrednio działalność opiekuńczą, przy czym zasadniczą jej forma polegała na zapomodze pieniężnej okresowej lub jednorazowej (m.in. na paczki dla więźniów) o ustalonej maksymalnej wysokości.

W połowie 1943 roku została mi powierzona organizacyjna strona owego centralnego punktu dyspozycji, co wprowadziło mnie w całość tej akcji oraz uzasadniało znowu bliski kontakt z Jankowskim. Interesował się on nadal tą akcją, pomimo objęcia naczelnego stanowiska kierowniczego w Delegaturze Rządu. Oznaczało to odbieranie bezpośrednio od niego wskazówek i dyspozycji oraz odpowiedzialność za sprawne przejmowanie, przechowywanie i rozprowadzanie funduszy przy wykorzystaniu lokali, które zostały mi oddane do dyspozycji (dwa najważniejsze przy ul. Moniuszki i przy ul. Elektoralnej służyły również w pewnej mierze jako punkty kontaktowe dla Jana St. Jankowskiego).

Podjęwając ten zakres obowiązków zdałem sobie rychło sprawę ze szczególnych problemów, które stwarzała w ramach działalności konspiracyjnej kontrola nad prawidłowością spożytkowywania funduszy przeznaczonych na cele opieki czynnej. Względami bezpieczeństwa wymagałyby ograniczenia do minimum wszelkich formalności i związanej z nimi dokumentacji. Dużą rolę musiał też odgrywać czynnik zaufania, związany z właściwym doбором osób uczestniczących w pracy konspiracyjnej. Z drugiej strony nie można było jednak rezygnować z rygorów, jakich wymaga w każdym środowisku obrót pieniędzy, aby zapobiec mimowolnym choćby uchybieniom i nieścisłościom.

Jan St. Jankowski przywiązywał wielką wagę do tej kontroli, jakkolwiek zdawał sobie sprawę z ograniczonych możliwości jej zastosowania w warunkach konspiracji. Fundusze na rzecz instytucji i ośrodków prowadzących bezpośrednio akcję opieki z ramienia Delegatury były przyznawane na podstawie przedstawionych przez nie preliminarzy, a następnie wymagano składania sprawozdań ze sposobu ich wykorzystania (co dwa miesiące). Przy świadczeniach przyznawanych bezpośrednio przez kierownictwo Departamentu zbierano potwierdzenia odbioru sporządzane według odpowiedniego klucza, a następnie kwity te i rozliczenia były komisyjnie sprawdzane i niszczone.

Jankowski narzucał sobie także te rygory w stosunku do akcji opie-

⁶ Por. CA KC PZPR 203/VII-35, t. 2, s. 112 nn.: Sprawozdanie Departamentu Pracy i Opieki Społecznej za okres 1.VIII—31.XII.1943 oraz instrukcje dla Okręgów i komórek powiatowych w sprawie opieki czynnej (tamże, 202/VIII, s. 8—10).

kuńczej, którą osobiście prowadził, i to nawet wtedy, gdy objął stanowisko Delegata Rządu. Nauczyłem się szanować tę skrupulatność w sprawach pozornie błahych (w zestawieniu z zakresem ciężących na nim odpowiedzialności), ale zawsze delikatnych, jak wszystko to co dotyczy pieniędzy, zwłaszcza w warunkach ograniczonej formalnej kontroli. Zawierał się w tym także wzór postępowania dla współpracowników. W całym omawianym teraz okresie miałem z Jankowskim bliski kontakt osobisty. Bywałem też stosunkowo często w jego prywatnym mieszkaniu przy ul. Raszyńskiej 52, w którym mieszkał cały czas legalnie i przyjmował, wbrew zasadom ścisłej konspiracji, swych najbliższych współpracowników.

Na początku 1944 roku w organizacji akcji opieki czynnej zaszła zmiana. Główny punkt rozdziału funduszów przejął Stanisław Stęplewski, o czym zadecydowały względy praktyczne, można było bowiem w ten sposób oprzeć całą akcję o biuro RGO, w której był on legalnie zatrudniony, odciążyć od niej natomiast konspiracyjne lokale. Ułatwiała to również technicznie Jankowskiemu kontakt z punktem rozdziału funduszów, gdyż pozostawał on także w związku z RGO, jakkolwiek nie pełnił już w niej poprzednich funkcji.

Sprawy opieki czynnej należały do mnie odtąd w takim zakresie, w jakim wiązały się z wewnętrzną organizacją prac Departamentu, które były objęte zakresem moich funkcji. Punkt ciężkości zadań, w których wykonywaniu uczestniczyłem, przesunął się natomiast ku pracom koncepcyjnym, które nabierały coraz większego tempa i konkretyzowały się w miarę zbliżania się momentu przełomu, na jaki obliczone były projekty przygotowywane przez nas.

Następna, i ostatnia już, faza moich kontaktów z Jankowskim przypadła na okres powstania warszawskiego, od chwili gdy kierownictwo Delegatury znalazło się w północnej części śródmieścia (w gmachu PKO przy ul. Świętokrzyskiej). W tym rejonie znalazłem się również w drugiej połowie sierpnia 1944, a kontakt z centralnymi władzami Delegatury był dla mnie tym bardziej konieczny, że po tragicznej śmierci Stefana Mateji w pierwszych dniach powstania, objąłem przejściowo funkcje dyrektora Departamentu. W trakcie parokrotnej styczności z Jankowskim podziwiałem jego spokój zewnętrzny i opanowanie w obliczu dramatycznego obrotu wydarzeń. Poznałem też jeszcze jedną jego cechę osobistą, a mianowicie odwagę, gdy zdarzyło mi się iść z nim w niewielkiej grupie przez plac noszący wówczas nazwę placu Napoleona w czasie gęstego ostrzału. Jankowski szedł pierwszy, wyprostowany, nie kłaniając się kulom, jakkolwiek była to kanonada mogąca zdeprymować najodważniejszych ludzi.

Ostatnie już nasze spotkanie miało miejsce pod koniec września 1944, w schronie przy ul. Mokotowskiej, którego strop rezonował od uderzeń pocisków padających raz po raz w pobliżu. Powstanie dobiegało końca, ciężki ostrzał pokrywał ostatnie miejsca pobytu jego dowództwa i władz cywilnych. Po tragicznym epizodzie przebywania na zagrożonym wciąż skrawku wolnego kraju, czekała nas nowa faza ponieważ i nie wyjaśniona przyszłość. Nie była to sytuacja zachęcająca do rozmów.

Jeszcze byłem świadkiem wymiany słów między konspiracyjnym prezydentem Warszawy Marcelim Porowskim a Kazimierzem Pużakiem w sprawie zasad ujawniania się wobec władz radzieckich. Jeszcze otrzy-

mywałem instrukcje, jak zorganizować wyjście z miasta grupy współpracowników Departamentu po kapitulacji. Ale w istocie dominowało milczenie i narastająca świadomość końca. W tych okolicznościach wymieniałem z Janem St. Jankowskim ostatni, pożegnalny uścisk dłoni.

II

Stefan Mateja stał na czele Departamentu Pracy i Opieki Społecznej od marca 1943 roku do powstania warszawskiego. Wybitny prawnik, znany ze swej społecznej postawy sędzieja sądów pracy, współpracownik Instytutu Spraw Społecznych i Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej, zajął to stanowisko dzięki swym szczególnym przymiotom osobistym, mimo że nie należał do żadnej partii, co uzasadniałoby jego nominację według przyjętego „klucza”. Nasze drogi krzyżowały się już przed wojną, ale były to kontakty okazjonalne, bez głębszej treści.

Zbliżyłem się do niego w pierwszych miesiącach okupacji w związku z jego udziałem w komisji prawniczej utworzonej przez Jana St. Jankowskiego przy sekcji do spraw pracy SKSS. Kontakt ten utorał drogę naszej współpracy w Wydziale Informacji BIP ZWZ, w którym Stefan Mateja zgodził się pełnić funkcję konsultanta przy kierowanym przeze mnie referacie społecznym (w drugiej połowie 1940 roku). Jego udział w tym charakterze był cennym dopełnieniem mojego skromnego jeszcze wówczas doświadczenia w tej odpowiedzialnej pracy. W sprawach natury ogólniejszej głos Mateji był niezmiernie pożyteczny, niekiedy dochodziło do kontaktu między nim a moim szefem, kierownikiem Wydziału Informacji Jerzym Makowieckim.

W połowie 1941 roku Mateja objął kierownictwo prac koncepcyjnych prowadzonych w Departamencie Pracy i Opieki Społecznej i wówczas nasza współpraca przesunęła się, z jego inicjatywy, na tamtą płaszczyznę. W ciągu roku 1942 przewodniczył na zebraniach dyskusyjnych współpracowników Departamentu, które zmierzały do wypracowania ogólniejszych koncepcji i myśli programowych, dotyczących rozwoju polityki społecznej i prawa pracy w przyszłej Polsce. W tej roli dał się poznać jako inspirator wielu twórczych myśli i oryginalnych rozwiązań, nadając naszym pracom jednolity kierunek oraz ugruntowując atmosferę koleżeńskiego współdziałania, opartego na wzajemnym zrozumieniu i akceptacji określonych założeń ideowych. Gdy w marcu 1943 roku objął stanowisko dyrektora Departamentu, nadal sprawował kierownictwo tych prac oraz wnosił do nich duży własny wkład, starając się doprowadzić do przygotowania w najważniejszych dziedzinach projektów rozwiązań, ubranych w szatę prawną.

Stefan Mateja był szefem pełnym uroku. Nie miał w sobie nic z oficjalności dyrektora i nie sposobiał się również do zajęcia żadnych eksponowanych stanowisk w przyszłości. Wbrew rozpowszechnionym w pewnych kołach postawom nie widział siebie w roli przyszłego szefa resortu. Mawiał niekiedy, że ministrem mógłby być tylko w bardzo nienormalnych czasach, odsuwając wyraźnie od siebie tę ewentualność. Najchętniej myślał, a może nawet marzył, o objęciu kiedyś kierownictwa wielkiego instytutu badawczo-koncepcyjnego, obejmującego szeroki zakres polityki społecznej. W jednej z naszych licznych rozmów wyraźnie

wypowiedział się na ten temat. Tym też było uzasadnione jego żywe zainteresowanie losami i przyszłą rolą Instytutu Spraw Społecznych w Warszawie, do którego objęcia przymierzał się chyba w swoich myślach. Nie muszę dodawać, że ta postawa Stefana Mateji przyciągała mnie do niego najbardziej i stwarzała pomiędzy nami płaszczyznę bliższego zrozumienia.

Był człowiekiem głęboko wewnętrznie zaangażowanym na rzecz postępu społecznego ale równocześnie otwartym na wszelkie idee i koncepcje służące tej sprawie. Gruntowny znawca marksizmu, czytany w literaturze syndykalistycznej, studiował gorliwie prasę podziemną wszelkich orientacji politycznych, starając się z niej wyluskać zdrowe ziarna. Bliski już przed wojną ideom wyrażanym w dokumentach programowych Polskiej Partii Socjalistycznej, brał w czasie wojny żywy udział w pracach katolickiej „Unii”⁷ i zbliżył się w związku z tym do Stronnictwa Pracy. Był lojalnym pracownikiem Delegatury Rządu na Kraj, ale równocześnie przyznawał wiele racji głosom krytycznym przeciwko monopolowi czterech stronnictw, jakie odzywały się w środowiskach nie reprezentowanych w aparacie Delegatury i w Radzie Jedności Narodu.

Polityka była dla Stefana Mateji sprawą ideologii, a nie rozgrywek taktycznych i to ideologii pojętej w sposób twórczy, wolny od wszelkiego schematyzmu i doktrynerstwa. Jego postawy ideowej nie można byłoby określić przy pomocy żadnego przydanego jej szyldu, ani zaliczyć go bez reszty do żadnego kierunku czy ugrupowania politycznego. Był zbyt wielką indywidualnością na to, aby można go było zakwalifikować w ten sposób. Niewątpliwie jednak jego wielka wrażliwość na problemy społeczne związane z sytuacją człowieka pracy oraz dążenie do głębszych przemian zgodnych z zasadami sprawiedliwości społecznej rozstrzygały o jego przynależności do szeroko pojętego obozu lewicy.

Sprawy te były często tematem naszych rozmów, ponieważ współpraca nasza przerodziła się z czasem w osobistą zażyłość. Odwiedzałem często Stefana Mateję poza obowiązkami służbowymi, aby pożyczyć książki z jego bogatej prywatnej biblioteki oraz rozmawiać z nim na temat tych lektur i innych związanych z nimi problemów. Jednym ze szczególnie ważnych wątków w tych rozmowach było ustosunkowanie się do myśli programowych Sorela, które jak wiadomo, oddziaływały zapładniająco na wielu naszych wybitnych myślicieli, a w okresie okupacji cieszyły się szczególną popularnością⁸. Starłem się już wtedy zrozumieć, co o tym rozstrzygnęło i powracam nadal często w myślach do tej kwestii. Czyżby miał to być heroizm, przypisywany przez Sorela klasie robotniczej a tak bliski przeżyciom i doświadczeniom dni okupacji? Czy też rola mitów jako czynnika mobilizującego do wielkich społecznych działań? Czy po prostu idea oparcia porządku społecznego na syndykatach, tak bliska idei ustroju opartego na pracy, której hołdował wyraźnie nasz Departament, co znalazło wyraz w jego pracach programowych?

⁷ Por. J. Hoppe, *Wspomnienia, przyczynki i refleksje*, Londyn 1976, s. 275, 281, 299.

⁸ Por. Z. Zbyszewska, *Ministerstwo Polskiej Biedy*, Warszawa 1983, s. 262.

Stefan Mateja widział szczególną wartość koncepcji Sorela w ich swoistej czystości ideowej, w tym mianowicie, że stawiał on na samych robotników i ich organizacje jako na czynnik sprawczy, a nie na działających w ich imieniu przywódców politycznych i społecznych, wyobcowujących się w istocie z ich grona. Znajdował również upodobanie w swoistej konstrukcji głównego dzieła Sorela: „Reflexions sur la violence”, polegającej na wielokrotnym powracaniu do tych samych wątków myślowych z coraz szerszej perspektywy.

Rozmowy nasze dotyczyły również niekiedy stosunku do Rosji. Mateja miał wiele sentymentu dla tego wielkiego kraju i jego niespożytych sił: „Rosji nie można pobić” powiedział bezpośrednio po napaści Hitlera na Związek Radziecki, gdy wsłuchiwalismy się w lokalu konspiracyjnym Wydziału Informacji BIP AK w odgłosy świeżo rozpoczętej wojny na froncie wschodnim. Był czytany w rosyjskiej literaturze pięknej i operował nieraz zaczerpniętymi z niej przykładami czy cytatami. Miał głębokie zrozumienie dla uzasadnionych aspiracji narodu rosyjskiego a także dla potrzeby ugruntowania przyjaźni między narodem polskim i rosyjskim oraz usuwania przeszkód na tej drodze. Chodziło mu przy tym oczywiście o istotę rzeczy a nie o pozorne efekty i gry polityczne, mogące jedynie wypaczyć dążenia do tego celu.

W rozmowach naszych wpływały niezmiernie często różne wątki, dotyczące przyszłego obrazu polityki społecznej i prawa pracy w przyszłej Polsce. Bardziej konkretne przewidywania i zamierzenia były formułowane w przygotowywanych przez Departament dokumentach programowych i projektach aktów normatywnych. Niezależnie od tego nasuwały się jednak różne refleksje trudne do ujęcia w tę formę. Stefan Mateja mówił często o ogromie potrzeb, które będą wymagały zaspokojenia po wyniszczających przeżyciach wojny i okupacji a także o wysiłku, jaki będzie konieczny dla odbudowy i podźwignięcia gospodarczego kraju.

Postulował w związku z tym wielką mobilizację sił o charakterze samopomocy społecznej, polegającej na świadczeniach na rzecz wspólnego dobra w zakresie odpowiadającym indywidualnym możliwościom i umiejętnościom. Wierzył, że przeżycia wojenne przyczynią się do scementowania narodu i przezwyciężenia wielu dawnych konfliktów. Postulował jednak równocześnie likwidację linii podziału stwarzających w szerokich kręgach poczucie niesprawiedliwości i krzywdy. Dotyczyło to zwłaszcza zróżnicowania uprawnień pracowniczych według kryteriów pracy fizycznej i umysłowej, a także dyskryminacji robotników rolnych. Chodziło mu jednak nie tylko o samą sytuację prawną w pracy zawodowej, lecz również o otwarcie szerokiego dostępu do oświaty na wszystkich jej szczeblach oraz o zmianę składu społecznego inteligencji, tak aby stała się ona warstwą kierowniczą, pozbawioną cech kastowych. Zgodnie ze swoją otwartą postawą Mateja uważał za celowe wykorzystywanie wszelkich obcych wzorów w takim zakresie, w jakim mogą okazać się użyteczne, bez względu na to, od kogo pochodzą. Dotyczyło to m.in. również pewnych rozwiązań techniczno-organizacyjnych stosowanych w niemieckiej polityce pracy, nie mających bezpośredniego związku z systemem politycznym.

Stefan Mateja nie był dobrym pisarzem. Formułowanie myśli na piśmie przychodziło mu z trudem, był z reguły bardzo niezadowolony

ze wszystkiego, co wychodziło spod jego pióra. Należał do osób wypowiadających się inaczej: poprzez wpływ wywierany na ludzi, inspirowanie twórczych myśli, pobudzanie ożywczych dyskusji, stwarzanie klimatu sprzyjającego owocnej i harmonijnej pracy zespołowej. Był niezrównany jako kierownik prac koncepcyjno-programowych i jako polemista, broniący z wielką siłą argumentacji własnego stanowiska a równocześnie otwarty na przyjmowanie wszelkich uwag, mających rzeczowe uzasadnienie.

Sympatię budziła jego postać owiana mgiełką romantyzmu i pełna niecodziennej fantazji, która cechowała jego całe postępowanie w owych latach grozy okupacyjnej. Lekceważąc wszelkie zasady konspiracji chodził obładowany nielegalnymi dokumentami i prasą podziemną wszelkich odcieni. Odnosił się z pogodną wyrozumiałością do odstępstw od rygorów pracy konspiracyjnej, jakie wynikały z osobistych cech niektórych naszych współpracowników (zwłaszcza jednego z nich, o czym będzie jeszcze mowa poniżej). Był całkowicie zaangażowany w walkę podziemną, widząc w niej głęboki moralny sens. „Bywają takie sytuacje, w których opłacają się tylko straty” powiedział mi kiedyś w jednej z naszych przyjacielskich rozmów. Przejawiał jednak równocześnie wielką trzeźwość sądów we wszystkim, co dotyczyło rozwiązywania podstawowych problemów społecznych i pozytywnych zmian w tej dziedzinie. Był niewątpliwie jednostką nieprzeciętną, człowiekiem mądrym, odważnym i twórczym, o wyjątkowych walorach umysłu i charakteru. Odczuwałem to zawsze jako wielkie szczęście, że dane mi było z nim współpracować.

Widzieliśmy się po raz ostatni 1 sierpnia 1944 roku na krótko przed godziną „W”. Władze cywilne Polski podziemnej nie były zawiadomione o ustalonej dacie wybuchu powstania, odbywaliśmy więc rutynowy dyżur w lokalu kontaktowym, który mieścił się w mieszkaniu naszej sekretarki Alicji Eysmontówny przy ul. Marszałkowskiej 49. Stefan Mateja wyszedł z tego dyżuru około godziny 16-ej, ja pozostałem nieco dłużej i znalazłem się na terenie Śródmieścia objętym przez powstanie, w którym następnie wziąłem udział nawiązując kontakt z placówkami zorganizowanymi przez BIP AK.

Wiadomość o śmierci Mateji, który został zastrzelony podczas gaszenia pożaru „Reduty Wawelskiej” w rejonie placu Narutowicza⁹ przysłała do Śródmieścia wkrótce po 10 sierpnia. Był to cios bolesny, który wywołał głęboki smutek i przygnębienie w kręgach Delegatury Rządu oraz wśród ludzi, którzy czuli się z nim ideowo związani. Hołd jego pamięci został oddany w nekrologu, który ukazał się w organie Delegatury, dzienniku „Rzeczpospolita Polska”¹⁰.

Wkrótce po wyzwoleniu ruin Warszawy udałem się do domu, w którym mieszkał Stefan Mateja przy ul. Uniwersyteckiej 3. Dom i jego mieszkanie były zdewastowane, ale nie zostały zrujnowane ani spalone. Z ogromnej masy poniszczonych i częściowo zalanych wodą papierów

⁹ Por. A. K. K u n e r t, *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej 1939—1944* t. II, Warszawa 1987, s. 126.

¹⁰ „Rzeczpospolita Polska”, nr 35/107 z 24 sierpnia 1944. W nekrologu podano pseudonim Mateji: Stefan Żłowski. Wspomnienie żałobne (w imieniu unionistów) pt. *List z frontu* ukazało się w „Kurierze Stołecznym”, nr 7 z 16 sierpnia 1944.

wybrałem to, co wydawało mi się najcenniejsze: niektóre maszynopisy oraz odbitkę korektorską jego pracy, która miała być opublikowana w wydawnictwach Instytutu Spraw Społecznych w roku 1939. Uporządkowałem następnie te papiery i podjąłem starania o opublikowanie zbioru prac Stefana Mateji przez Polski Instytut Służby Społecznej powstały w Łodzi w 1946 roku a kierowany przez prof. Helenę Radlińską. Zbiór ten miał się ukazać drukiem w ramach serii „Biblioteka Myśli Społecznej” zainicjowanej wydaniem wybranych prac Konstantego Krzeczковского. Niestety na przeszkodzie publikacji stanęło stanowcze *veto* cenzury. Maszynopisy i wspomniana wyżej odbitka korektorska są przechowywane w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego.

Krótko po wojnie i później w roku 1948, z okazji złożenia prochów Stefana Mateji w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach, ukazały się w prasie codziennej nekrologi i wspomnienia poświęcone jego pamięci¹¹. Podnoszono w nich bezsporne wartości Zmarłego i podkreślano jego postępową postawę społeczną. W niektórych z nich zaznaczyła się jednak, niezgodna z prawdą, tendencja zaliczenia go do określonych szeregów i upraszczania w ten sposób obrazu jego pamięci. Od tendencji tej nie było też całkowicie wolne, piękne skądinąd, wspomnienie o Stefanie Mateji opublikowane w roku 1946 przez Stanisława Gombińskiego¹².

Pisząc obecnie, z innej perspektywy czasu i w warunkach umożliwiających swobodniejsze wypowiedzenie się, starałem się oddać sprawiedliwość postaci Stefana Mateji oraz przedstawić prawdziwy obraz ważnego okresu jego życia i pracy.

III

Spośród współpracowników Departamentu Pracy i Opieki Społecznej szczególnie bliscy byli mi Maciej Święcicki i Jerzy Piotrowski. Z Maciejem Święcickim zetknąłem się na kilka lat przed wojną na uniwersyteckich studiach prawniczych i poprzez wspólne grona przyjacielskie. Jego żywe zainteresowania prawem pracy sprawiły, że wszedł do zespołu pracowników Ministerstwa Opieki Społecznej oraz nawiązał kontakt z Instytutem Spraw Społecznych, w którym podjął opracowanie problematyki społeczno-prawnej związków zawodowych. Uczestnik kampanii wrześniowej, wyszedł szczęśliwie z groźnej sytuacji z niezbyt ciężkimi obrażeniami, które uzasadniły jednak dłuższy pobyt w szpitalu i kwalifikację inwalidzką.

Osiadł następnie wraz z rodziną w Laskach pod Warszawą. Współpracę z Departamentem nawiązał na moją propozycję wiosną 1942 roku.

¹¹ Nekrologi w „Głosie Ludu”, nr 186 z 8 lipca 1948 i w „Życiu Warszawy” nr 186 z 8 lipca 1948, a w „Robotniku” (nr 187 z 9 lipca 1948) wspomnienie w postaci artykułu pt. „Towarzysz Stefan Mateja”. W „Robotniku” ukazała się także już w roku 1945 obszerniejsza wzmianka o Stefanie Mateji w ramach artykułu pt. „Niesplamiony sztandar” (nr 211 z 16 sierpnia 1945).

¹² St. Gombiński, *S.p. Stefan Mateja*, „Demokratyczny Przegląd Prawniczy”, nr 9—10, 1948, s. 51—54. Wspomniane przez Gombińskiego nowe pismo, którego wydawanie przygotowywał Stefan Mateja, miało być organem Unii Pracy. Jego redaktorem miał być pierwotnie Zygmunt Kopankiewicz; po jego aresztowaniu zadanie to przejął S. Mateja.

Uczestniczył w zebraniach odbywanych pod przewodnictwem Stefana Mateji, na których kształtowały się w toku żywej wymiany zdań idee programowe Departamentu. W ramach tych zebrań przedstawił najpierw obszerniejsze opracowanie dotyczące przyszłych linii rozwojowych opieki społecznej a następnie skupił się, zgodnie ze swymi poprzednimi zainteresowaniami, na zagadnieniach ustroju pracy.

W związku z tym wszedł w ściślejszy osobisty kontakt ze Stefanem Mateją, przygotowując pod jego kierunkiem, ale z dużym wkładem własnych myśli, różne dokumenty programowe Departamentu. Było coś fascynującego w harmonijnej i niezwykle owocnej współpracy tych dwóch ludzi o różnym rodowodzie ideologicznym, ale o podobnej wrażliwości na sprawy społeczne i podobnych, jak to oceniam z perspektywy czasu, cechach charakteru. Marksista-romantyk i konsekwentny katolik, który nieprzypadkowo odbywał służbę wojskową jako ułan, znaleźli zaskakująco łatwo wspólny język i porozumieli się co do kierunków przebudowy ustroju pracy w przyszłej Polsce. Mateja górował w tym dialogu wiedzą i doświadczeniem oraz wynikającą stąd dojrzałością, ale Świącicki wnosił również wiele własnych myśli, a poza tym jemu przypadała przeważnie rola formułowania tekstów, które podlegały następnie dalszej obróbce.

W ten sposób powstały tezy o radach zakładowych, związkach zawodowych i izbach pracy, a następnie projekty aktów prawnych regulujących te instytucje, z których jeden, ten najdojrzałszy, dotyczący rad zakładowych, uzyskał akceptację władz Delegatury i został opublikowany w „Dzienniku Ustaw” w czasie powstania warszawskiego. Maciej Świącicki zaznaczył w ten sposób swój poważny udział w tym zakresie prac programowych Departamentu Pracy i Opieki Społecznej, który miał kluczowe znaczenie dla całości tych prac i stanowił niejako jego wizerunek ideowy.

Z Jerzym Piotrowskim zetknąłem się po raz pierwszy dopiero w roku 1939, na krótko przed wybuchem wojny, gdy przeniósł się on z Poznania do Warszawy, obejmując odpowiedzialne stanowisko w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych, a następnie wszedł również w kontakt z Instytutem Spraw Społecznych, podejmując na jego zlecenie opracowanie wyników ankiety na temat samorządu ubezpieczeniowego. W skład współpracowników Departamentu Pracy i Opieki Społecznej wszedł w roku 1941, nawiązując osobisty kontakt z Janem St. Jankowskim. Od tej pory datowała się nasza stale zacieśniająca się współpraca, która przybrała trwałe formy z chwilą powstania zespołu opracowującego idee programowe przyszłej polityki społecznej pod przewodnictwem Stefana Mateji.

Jerzy Piotrowski brał udział we wspomnianych wyżej dyskusjach, wnosząc do nich wiele trafnych sądów i ważnych spostrzeżeń opartych na jego gruntownej wiedzy socjologicznej. Następnie objął samodzielnie zakres prac koncepcyjnych, dotyczących problematyki ubezpieczeń społecznych. Spod jego pióra wyszły najpierw ogólne tezy dotyczące przyszłego rozwoju tej instytucji, które były przedmiotem wewnętrznych dyskusji w Departamencie. Z kolei opracował samodzielnie projekt dekretu o uporządkowaniu stanu prawnego w ubezpieczeniu społecznym w okresie bezpośrednio powojennym wraz z obszernym uzasadnieniem, a także odrębny projekt prawa normującego sprawę ubezpieczeń spo-

łecznych na „zajętych obszarach”, tzn. na ziemiach zachodnich i północnych, co do których przewidywano, że zostaną włączone po wojnie do państwa polskiego. Przedstawił również materiały obrazujące straty instytucji ubezpieczeń społecznych w wyniku wojny i okupacji oraz związane z tym problemy odszkodowawcze. Podkreślić należy, że wszystkie te dokumenty zostały przygotowane przez Jerzego Piotrowskiego samodzielnie bądź też, jeśli chodzi o opracowania materiałowe, pozyskane jego staraniem.

Do grona ścisłych współpracowników Departamentu należał również Eugeniusz Modliński, z którym przed wojną stykałem się okazjonalnie w związku z zajmowanym przez niego stanowiskiem w Ministerstwie Opieki Społecznej, a w czasie okupacji wszedłem z nim w bliższy kontakt. Rola Modlińskiego w Departamencie była inna niż osób, o których była mowa poprzednio. Nie brał on udziału w naszych zebraniach dyskusyjnych ze względu na to, że nawiązał współpracę z Departamentem w późniejszej fazie. Nie opracowywał również żadnego wyodrębnionego działu zagadnień w ramach naszych prac koncepcyjnych. Przez jego ręce przechodziły natomiast niemal wszystkie ważniejsze nasze opracowania, które były poddawane jego osądowi zarówno pod względem merytorycznym jak i formalnym. Utrzymywałem w związku z tym kontakt z Eugeniuszem Modlińskim, przekazując mu różne dokumenty Departamentu oraz odbierając jego uwagi a także omawiając je z nim bezpośrednio. Był to w przeważającej mierze kontakt osobisty w miejscu pracy Modlińskiego w Ubezpieczalni Społecznej, która mieściła się wówczas przy ul. Smulikowskiego w gmachu ZNP. To pominięcie zwykłej konspiracyjnej drogi (za pośrednictwem łączniczek, skrzynek itp.) sprzyjało bezpośredniemu porozumieniu, a przy tym było uzasadnione charakterem naszej współpracy, która przybierała coraz bardziej formy wymiany myśli na gruncie przyjaznych stosunków. Funkcja Eugeniusza Modlińskiego w Departamencie została określona w jego organizacyjnej strukturze jako „referat ogólny”. Jego opinie były wysoko cenione przez Stefana Mateję¹³.

Współpracownikiem merytorycznym Departamentu był również Marian Baran, który wszedł w kontakt z nami na przełomie 1943 i 1944 roku i przeniósł się w związku z tym z Krakowa do Warszawy. Był on znawcą zagadnień opieki społecznej, a plonem jego prac było przygotowanie projektu dekretu o utworzeniu Polskiego Komitetu Samopomocy Społecznej, który w naszej koncepcji miał powstać bezpośrednio po wojnie w miejsce RGO, a także projektu statutu tej instytucji.

Osobna uwaga należy się współpracownikom techniczno-administracyjnym, z którymi utrzymywałem szczególnie bliski kontakt, ponieważ

¹³ Z Maciejem Święcickim, Jerzy Piotrowskim i Eugeniuszem Modlińskim łączyła mnie po wojnie przez dłuższe lata osobista przyjaźń i ścisła współpraca na gruncie naukowym, wszyscy trzej zostali bowiem profesorami na wyższych uczelniach. Poniżej podaję opublikowane przeze mnie wspomnienia, uwzględniające również okres okupacji: *Maciej Święcicki (1913—1971)*, „Państwo i Prawo” nr 2/1972, s. 109—112 oraz *Księga Pamiątkowa. Studia z prawa pracy*, SGPiS, Warszawa (w druku); *Jerzy Piotrowski (1907—1983)*, „Polityka Społeczna” 1984 nr 1, s. 39 n. oraz „Studia i Materiały z Historii Ubezpieczeń Społecznych w Polsce” z. 4, Warszawa 1986, s. 177—182; tamże opublikowano fragment opracowania programowego Jerzego Piotrowskiego z czasu wojny (s. 183—185); *Eugeniusz Modliński (1903—1984)*, „Polityka Społeczna” 1984, nr 4, s. 39 n.

do mnie należała organizacyjna strona działalności Departamentu. Rozwój tej działalności, zwłaszcza akcji opieki czynnej, sprawił, że zaszła potrzeba włączenia do obsady personalnej Departamentu osoby zajmującej się prowadzeniem kasy i uproszczonej księgowości dla utrzymania w należyтым porządku gospodarki finansowej. Obowiązki te objął w roku 1943 Marian, dobry znajomy Stefana Mateji z Kielc, gdzie zajmował poprzednio stanowisko kierownicze w bankowości. Był to człowiek nie tylko fachowy lecz również obowiązkowy i sumienny, tak że współpraca z nim układała się bardzo harmonijnie. Z jednym tylko zastrzeżeniem: mianowicie co pewien czas, niezbyt często, ale jednak wystąpiło to w okresie naszej półtorarocznej współpracy parokrotnie, przychodził na niego „amok”: znikał wówczas bez uprzedzenia na 2—3 dni, oddając się w tym czasie uciechom życia, po czym podejmował znów swe obowiązki i wszystko wracało do normy. Odszuki te nie pasowały zupełnie do jego codziennej sylwetki, człowieka zorganizowanego i zrównoważonego, były mu jednak najwyraźniej potrzebne jako forma odprężenia, równoważącego napięcia życia okupacyjnego pod wysokim ciśnieniem. Ujawniały one również jakby drugą stronę jego natury, pełną niespodziewanej fantazji, gdy potrafił np. skłonić motorniczego tramwaju do odwiezienia go pod sam dom poza normalną trasą, po godzinie policyjnej. Nietrudno sobie wyobrazić zakłócenia, jakie w naszej pracy konspiracyjnej wprowadzały nagle zniknięcia Mariana (zwłaszcza za pierwszym razem!): zmiana lokali, przerzucanie pieniędzy i dokumentów itp. Później przestaliśmy już reagować tak nerwowo, a Stefan Mateja, któremu przedstawiałem tę sprawę, okazywał w stosunku do niej dużą wyrozumiałość i pobłażliwość.

Szczególnie ważną komórkę organizacyjną Departamentu stanowił sekretariat (kryptonim: „Biuro”) i cały powiązany z nim system łączności. Na czele tej komórki stała Alicja Eysmontówna („Irena”) prowadząc ją wzorowo, z dużym nakładem starań o sprawność, bezpieczeństwo i niezawodność obiegu dokumentów. Po długich latach jedna z najbliższych naszych współpracowniczek — łączniczka Departamentu, Hanna Pachnowska-Wałkowska („Ewa”), pisała wspominając: „Ja naprawdę lubiłam tamto „biuro” na Wspólnej, gdzie każdego ranka Pani Irena (nigdy nie potrafię nazywać Jej inaczej) z niezmaconym spokojem rozdzielala pocztę, ustalała trasę i jej dokładne godziny. To naprawdę dziwne, że w centrum tamtej Warszawy, w konspiracyjnym lokalu, miało się poczucie bezpiecznego azylu. Nigdy ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, że tam nie będzie „kotła”. Myślę, że właśnie postawa Pani Ireny, jej spokojna pewność dobrej roboty, nie była tu bez znaczenia” (wspomnienia w formie listu z 11 marca 1987).

Taką też pozostała Alicja Eysmontówna w mej pamięci: sumienna, obowiązkowa i zaangażowana, niezawodna w organizowaniu codziennej roboty, od której dobrego wykonania zależało tak wiele, jakkolwiek nie dawała ona bezpośrednio większych satysfakcji. W całym okresie sprawowania przeze mnie funkcji zastępcy dyrektora Departamentu Alicja Eysmontówna należała do moich najbliższych współpracowników. W wielu trudnych sytuacjach była mi bezpośrednio pomocna; z perspektywy czasu zdaję sobie tym bardziej sprawę, jak wiele miałem jej do zawdzięczenia i ta świadomość dominuje w moim wspomnieniu.

W podobny sposób wspominam inną naszą współpracowniczkę, wchodzącą w skład sekretariatu, Janinę Gadomską („Wandę”). Reprezentowała ona w naszym gronie nieco starsze pokolenie: dawna członkini „Zetu”, uczestniczka strajków szkolnych z roku 1905, zaprawiona w pracy konspiracyjnej i bezwzględnie oddana sprawie a przy tym pełna osobistego uroku, była niezawodna w działaniu i zawsze gotowa do wszelkich wysiłków i poświęceń, jakich mogło wymagać uczestnictwo w podziemnej robocie. Właściwe jej roztargnienie nie upośledzało sprawności działania. Odznaczała się również odwagą, co miało się okazać w trudnych, tragicznych dniach powstania warszawskiego.

IV

Wybuch powstania położył kres opisanym wyżej formom działalności Departamentu. Zaskoczeni tym faktem, podobnie jak cała Delegatura, nie mieliśmy możliwości odpowiednio się przygotować. W związku z tym rozproszyło się grono współpracowników Departamentu i porwały się sieci łączności, które tylko w pewnej części udało się następnie odbudować. Śmierć Stefana Mateji, izolowanego od początku na beznadziejnej reducie w rejonie Placu Narutowicza, była szczególnie ciężkim ciosem.

W atmosferze pierwszych dni powstania znaczenie spraw „cywilnych”, jakimi zajmowaliśmy się dotychczas, schodziło z natury rzeczy na dalszy plan, rodziła się natomiast potrzeba włączenia się do formacji walczących. Dla mnie formacją tą stała się radiostacja „Anna”, do której wszedłem w sposób niejako naturalny, dzięki poprzednim powiązaniom z Biurem Informacji i Propagandy AK. I tak patrole informacyjne i obsługiwanie stanowisk obserwacyjnych zastąpiły dla mnie dawne formy aktywności; później wszedłem również w kontakt z ośrodkiem centralnym VI Oddziału Sztabu AK mieszczącym się w gmachu PKO przy ul. Świętokrzyskiej.

Stopniowo skupiała się jednak na nowo grupka współpracowników Departamentu. Należały do nich Alicja Eysmontówna, Janina Gadomska, która w początkowych dniach powstania pracowała jako sanitariuszka w szpitalu przy ul. Świętokrzyskiej; później także Marian Baran, wycieńczony i schorowany po przejściu kanałami ze Starego Miasta do Śródmieścia. Ta grupa pozostawała następnie w ścisłej łączności do ostatnich dni powstania.

Zarysowały się też sprawy, wymagające ze względu na swój charakter zainteresowania ze strony Departamentu. Pierwszą z nich była konieczność stworzenia form zorganizowanej samopomocy dla osób zmuszonych do opuszczenia swych miejsc zamieszkania i szukania schronienia na terenie Śródmieścia. Formy takie powstawały w sposób samorzutny i polegały nie tylko na zapewnieniu azylu, lecz również pomocy w zakresie żywienia, na co w pierwszym okresie powstania pozwalały jeszcze istniejące zasoby. Miałem możliwość zapoznania się ze szczególnie wartościowymi przejawami takiego działania. Departament nie miał w tym zakresie żadnych możliwości udzielenia organizacyjnej ani rzeczowej pomocy, pozostawała jedynie droga oddziaływania moralnego w kierun-

ku mobilizowania postaw solidarności i samopomocy społecznej. W tym duchu ogłosiłem odpowiednią odezwę do mieszkańców Śródmieścia na łamach biuletynu wydawanego przez radiostację „Anna” pod redakcją Władysława Bartoszewskiego¹⁴.

Następna sprawa wiązała się ściśle z poprzednim nurtem prac Departamentu, polegających na przygotowywaniu projektów aktów legislacyjnych. Jeden z tych aktów, dekret o radach zakładowych, został przyjęty uchwałą Krajowej Rady Ministrów i zakwalifikowany do opublikowania w „Dzienniku Ustaw”, który postanowiono wydawać w czasie powstania. Ze zrozumiałych względów interesowałem się tą sprawą. Próbowałem też naiwnie wpłynąć jeszcze na pewne poprawki w tekście wspomnianego dekretu, który, jako wynik pewnego kompromisu w łonie Delegatury, nie całkowicie nas w Departamencie zadowalał. Próby te nie mogły oczywiście być skuteczne, co wyjaśniło się w toku kontaktu, jaki nawiązałem z Adamem Bieniem, który, jako pierwszy zastępca Delegata Rządu, działał w tym czasie w jego imieniu na terenie Śródmieścia. Po ukazaniu się nr. 2 „Dziennika Ustaw”, w którym opublikowany został tekst dekretu o radach zakładowych¹⁵, napisałem artykuł wyjaśniający jego zasady, wydrukowany następnie w organie Delegatury „Rzeczpospolita Polska”¹⁶.

Inne sprawy, takie jak kontakt z instytucjami należącymi do naszego resortu a mieszczącymi się na terenie objętym powstaniem oraz z delegaturami dzielnicowymi działającymi w różnych rejonach miasta, zwłaszcza w Śródmieściu, miały już wtórny charakter, nie było bowiem w tym zakresie wiele do zrobienia. Przez pewien czas rezydowałem jednak w związku z tym w lokalu oddanym do dyspozycji Departamentu przy ul. Sienkiewicza 4. Warunki tej pracy były zupełnie nienormalne, gdyż ciężki ostrzał tej części Śródmieścia sprawiał, że lokal ten ulegał postępującej dewastacji. Dotrzymywała mi w tym czasie po bohaterku kroku Janina Gadomska, której pełna ofiarności postawa była mi cenną pomocą.

W tymże lokalu odwiedził mnie w końcu sierpnia Franciszek Białas zawiadamiając, że zostało mu powierzone stanowisko dyrektora Departamentu Pracy i Opieki Społecznej, osierocone przez śmierć Stefana Mateji. Wyjaśnił przy tym, że tylko wyjątkowo, ze względu na szczególną pozycję Mateji, stanowisko to mogło być zajmowane przez człowieka nie należącego do żadnego ze stronnictw, na których opierała się struktura Delegatury Rządu. Obecnie musiał tu jednak znaleźć zastosowanie klucz polityczny, według którego przypadło ono Białasowi jako przedstawicielowi PPS-WRN. Mnie pozostawiono nadal funkcję zastępcy dyrektora; coraz bardziej jednak stawało się dla mnie rzeczą

¹⁴ „Wiadomości z Miasta i Wiadomości Radiowe”, nr 7 z 6 sierpnia 1944. Świadectwem drugiego, równoległego nurtu mojej działalności w tym czasie był opublikowany w tychże „Wiadomościach” (nr 11 z 8 sierpnia 1944) mój reportaż pt. *Na ulicy Piłsa przed gmachem Pasty*.

¹⁵ Rozporządzenie Krajowej Rady Ministrów z dnia 1 sierpnia 1944 r. o radach zakładowych, „Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej” cz. III, nr 2 z 2 sierpnia 1944, poz. 16. O kontrowersjach w łonie Delegatury, dotyczących treści tego aktu prawnego pisze A. Bień, *Bóg jest wyżej, dom jest dalej*, „Przedświt”, Warszawa, s. 71 i 101.

¹⁶ *Rady Zakładowe*, „Rzeczpospolita Polska” nr 38/110 z 27 sierpnia 1944.

jasną, że moja dotychczasowa rola w Departamencie stanowi zamknięty rozdział i że nigdy już nie będę mógł rozwijać w nim takiej działalności, jaka była moim udziałem w okresie przedpowstańczym¹⁷. Najszczęśliwszym dla mnie rozwiązaniem byłoby chyba w tych okolicznościach zdecydowanie się na pójście do niewoli: sugerowano mi to wraz z propozycją awansu do stopnia oficerskiego; była to jednak dla mnie propozycja trudna do przyjęcia.

Byłem świadom obowiązków wobec grona naszych współpracowników, którzy pozostawali ze mną nadal w kontakcie i tych, których spodziewaliśmy się odszukać po powstaniu, ewentualnie wobec członków ich rodzin. Za swój obowiązek uważałem ponadto zabezpieczenie dokumentów, obrazujących dorobek prac koncepcyjnych Departamentu, których najważniejszy zestaw przechowywaliśmy cały czas pieczołowicie. To było ostatnie zadanie, jakie miała do wykonania nasza czteroosobowa grupa we wspomnianym poprzednio składzie.

Powstanie w sposób oczywisty dogorywało. Kończyła się epopeja potwornego nieraz, a jednak wspianego życia na skrawku wolnej ziemi, na którym można było w szczególny sposób czuć się bezpiecznym: od zagrożeń, jakie stwarzał poprzednio terror okupacyjny. Bezmierna ofiara cierpienia i krwi miała okazać się raz jeszcze daremna. Tracił bezpośredni sens cały poprzedni trud przygotowywania planów na okres mający zapoczątkować nową fazę życia narodu, po uwolnieniu od okupacji hitlerowskiej. Przenikało zwolna do naszej świadomości, że prace nasze nie będą w chwili ostatecznego przełomu bezpośrednio przydatne. Mieliliśmy jednak przekonanie, że zawiera się w nich ładunek myśli, do których być może w przyszłości wypadnie powrócić. A w każdym razie, że prace te będą miały wartość jako dokument historyczny, odzwierciedlający dążenia właściwe znacznemu odłamowi postępowej myśli społecznej.

Aby te materiały przechować, należało powierzyć je ziemi. Powinno to być jednak dokonane bez niepotrzebnych świadków. W tym celu nasza grupa opóźniła swój termin wyjścia z miasta po powstaniu do czasu, aż wszyscy lokatorzy domu naszego pobytu go opuszczą. W nocy z dnia 5 na 6 października 1944 dom opustoszał już całkowicie. W zupełnej pustce, ciemności i ciszy przystąpiliśmy do zakopywania na skwerku podwórza tej kamienicy naszych dokumentów. W pewnym momencie odezwał się jednak odgłos przypominający o życiu, jakie do niedawna pulsowało w tym wielkim domu i jakie nie miało już więcej do niego powrócić. Był to dźwięk zegarów, które w licznych opuszczonych już mieszkaniach, o pustych otworach okiennych, zaczęły kolejno wybijać północ. Było coś głęboko przejmującego w tym echu jakby zza grobu, ostatnim świadectwie minionego życia w mieście skazanym na zagładę. Symbolizowało to w sposób bardziej wymowny tragizm przeżywanych chwil niż niejedno z bezpośrednich groźnych wydarzeń. Odczuliśmy to wszyscy głęboko.

¹⁷ Utrzymała się jednak nadal po powstaniu moja więź organizacyjna z Departamentem, który rozwijał w tym czasie szeroką akcję opiekuńczą, zwłaszcza w stosunku do ludności wysiedlonej z Warszawy.

Nieprędko przyszedł sposobny czas, aby powrócić do tamtych dokumentów i materiałów oraz podjąć próbę ich opracowania. Gdy jednak zdecydowałem się to uczynić, rodzina mego zmarłego już od dawna przyjaciela, Macieja Święcickiego, przekazała mi dodatkowo tekę papierów, które zostały przez niego przechowane pod Warszawą. Odczułem to jako podanie mi przez niego pomocnej dłoni i dodatkową zachętę. A w toku tej mojej pracy narzuciła mi się potrzeba uzupełnienia jej osobistymi wspomnieniami o ludziach mi bliskich a nieżyjących, którzy mieli w działalności tamtych lat szczególny udział. W ten sposób powstał niniejszy szkic.